Rocznik II. Kraków, 1 stycznia 1900. Numer 1.

SKARBNICA

pismo miesięczne
popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:
Ks. Marceli Dziurzyński.

Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:

Przedpłata roczna wynosi w **Austryi: 2** zł**r. 50** ct. (**5** koron), **półroczna: 1** zł**r. 25** ct. (**2** korony **50** hal.). **W Niemczech** na rok: **5** marek. — **W Ameryce** rocznie: **1½** dolara.

Każdy, kto składa z góry **całoroczną** przedpłatę otrzymuje jako bezpłatną premię: **Kalendarz** ścienny.

Adres:

Redakcya *Skarbnicy* w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.

NAKŁADEM WYDAWCY.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.

1900.

Szan. Czytelników,

którym ten numer *Skarbnicy* przesyłamy na okaz, zawiadamy, że mogą go sobie zatrzymać i nam go nie zwracać. Jeżeli zaś chcą otrzymać zeszyt następny, tj. 2-gi, raczą jak najrychlej nadesłać przedpłatę i nadmienić, że zeszyt 1-szy już posiadają.

Również i dawniejszych Szan. Czytelników prosimy, by zechcieli pospieszyć się z nadesłaniem przedpłaty na rok bieżący, gdyż w przeciwnym razie, jeżeli wnet przedpłaty nie nadeślą, przestaniemy im pismo wysyłać.

Wszystkim zaś Szan. Czytelnikom życzymy wszelkiej pomyślności i błogosławieństwa Bożego w tym nowym roku.

Wydawnictwo.

Rok II. Kraków, 1 stycznia 1900. Numer 1.

SKARBNICA

pismo popularno-naukowe i powieściowe
wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Przedpłata wynosi:

w Austryi: na rok **2** złr., **50** ct. (5 koron) na pół roku **1** złr. **25** ct. (2 korony 50 hal.) — Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się. **W Niemczech:** na rok **5** marek. — **W Ameryce:** rocznie **1**½ dolara. **Adres** do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy" w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

Każdy, kto składa z góry **całoroczną** przedpłatę, otrzymuje jako bezpłatną premię: **Kalendarz** ścienny.

Źródła niektórych przesądów dotąd u nas istniejących.

Jak się jeszcze dotychczas zasiedziały, szczególnie między kobietami, śmieszne i nieraz szkodliwe przesądy, które nawet i u wykształconych osób spotkać często można, świadczą o tem poniżej przytoczone przesądy, które Wierze świętej się sprzeciwiają, a mają swoje źródło czyli początek w wierze bałwochwalczej.

I tak: Gdy do pogan zawitało światło wiary chrześcijańskiej, lud przez długie jeszcze czasy patrzał z pewną odrazą i niewiarą na kapłanów chrześcijańskich. Ztąd mówiono, że gdy duchowny, mianowicie mnich, przejdzie drogę, to nieszczęście wróży, a jako radę podają na to, żeby szpilką za nim rzucić, wtedy nieszczęście się odwróci. Jestto zabytek czysto pogański, śmieszny i niedorzeczny.

Inny przesąd mówi: Na progu się nie witać, bo to jest źle. Pochodzi to niezawodnie ztąd, że dawniej, szczególnie na Rusi, za czasów pogańskich, szczątki ciał palonych nieboszczyków zakopywano w glinianych urnach pod progami chat; dlategoteż progi świętemi nazywano, a powitanie gościa na samym progu musiało być wykroczeniem w pierwotnej wierze, dziś atoli jest to bezmyślne powtarzanie dawnych pogańskich zapatrywań ludzi.

Jest przesąd, aby zawsze lewą nogą wstawać i tę najpierw ubierać, bo wstawszy prawą będzie nieszczęście. Wiadomo z historyi, że król nasz Jagiełło, ten sam przesąd, pochodzący także z wiary bałwochwalczej, zachowywał skrupulatnie do końca swego życia.

Podobny przesąd powiada: gdzie chleb do góry mąką przewracają, tam się gospodarstwo przewraca. W czasach pogańskich składano u nas bochenki chleba bożkom na ołtarzach, ztąd też święcie je szanowano i do dziś dnia cześć ta przechowała się w pocałowaniu chleba gdy upadnie i podniesiony jest z ziemi. Że zaś od wieków nie kładziono u nas inaczej chleba świętego na stole, jak tylko spodem, więc kładzenie go naodwrót uważano za nowość tchnącą lekceważeniem, a za wykroczenie przeciw temu zwyczajowi zagrażano przewróceniem gospodarstwa.

Śmieci nigdy wieczorem nie wyrzucać, bo się gospodarstwo wyrzuca, mówią nasze gosposie, nie domyślając się, że to oznacza, aby rano robić porządek w domu nie wieczór, i że przy zamiataniu wieczornem łatwo można ze śmieciami niepostrzeżenie rzecz jakąś, nieraz kosztowną, wyrzucić.

Na jednym stole nie powinny się palić trzy świece, bo będzie nieszczęście w tym domu. Naturalnie, że będzie nieszczęście, bo palić trzy świece jest zbytkiem, a zbytek dla domu nieszczęściem.

Mówią także, iż gdy się dziecko ogniem bawi, to będzie z tego przypadek. I bez tego przesądu bywa zbyt często z takiej zabawki przypadek.

Gdy prowadzą umarłego, nie jeść, bo zęby wylatywać będą. Przesąd ten wymyślony był zdaje się, dlatego, aby patrzący na pogrzeb i ciało nieboszczyka, wielce do dziś dnia szanowane u nas, zachowywał się przystojnie i z przynależną powagą. Ludzi zaś wierzących nie można było prędzej do tego poszanowania skłonić, jak postraszyć go utratą zębów.

W poniedziałek nie puszczać się w drogę, nie przeprowadzać się, ani niczego ważniejszego nie rozpoczynać, bo ztąd wyniknie nieszczęście. Przesąd ten dziś może najwięcej rozpowszechniony, pochodzi z dawnych czasów, gdy w Polsce panowali królowie sascy. Za ich panowania spędzano niedziele powszechnie na hulankach i piciu. Jasna rzecz, iż nazajutrz, w poniedziałek, głowa ciężyła, a niejeden klin klinem wybijał. Ztąd też lepiej było siedzieć w domu lub przespać się, niż co ważniejszego po pijanemu rozpoczynać. Postrach więc nieszczęścia był w takim razie potrzebnym,

łecz dziś, nie ma on sensu, chyba u tych, którzy w niedziele się upijają.

W Wielki Piątek w lustro się nie patrzeć, bo się złe pokaże, a kto w piątek skacze, ten w niedzielę płacze. Ma to źródło w tem, że w Wielki Piątek i w ogóle w każdy piątek, jako w dzień smutku, w dzień pamiątki męki i śmierci P. Jezusa, należy zapomnieć o zabawie i nie radować się.

Rok miłościwy w Rzymie.

W bieżącym roku obchodzi w Rzymie świat katolicki jubileusz, czyli rok miłościwy, ogłoszony przez Papieża Leona XIII bulą „Properante ad exitum". Ostatni rok jubileuszowy odprawił Papież Leon XII roku 1825, przypadające zaś na rok 1850 i 1875 jako też i na rok 1800 nie przyszły do skutku, bo przeszkodziły temu, jak to nam wiadomo z historyi, ówczesne niepomyślne stosunki polityczne.

Jubileusz, a właściwie jobileusz, pochodzi z hebrajskiego „jobal" i z znaczy róg skopowy, z jakiego wyrabiano trąby do zapowiadania tej uroczystości. U starych Izraelitów przypadał jubileusz co 50 lat i obchodzono go wedle zakonu Mojżeszowego aktem miłości bliźniego.

Popadli w niewolę Izraelici odzyskiwali w roku miłościwym wolność bez okupu, długi ich bywały umarzane, a utracona posiadłość ziemska wracała do swoich pierwotnych właścicieli. U Rzymian znowu ponawiał się rok miłościwy co sto lat i obchodzono go niezwykłemi igrzyskami, oraz obrządkami religijnemi. Świat zas chrześcijański natomiast, jak się zdaje, w pierwszym tysiącu swego istnienia, nie znał lata miłościwego.

Pierwszy jubileusz, o jakim pozostały pamiątki i zabytki piśmienne, obchodził kościół w Rzymie w roku 1300.

Około Bożego Narodzenia roku 1299 i Nowego Roku, zaczęli do Rzymu ze wszech stron napływać pątnicy, opowiadając sobie o udzielaniu w tym roku nadzwyczajnych odpustów. Chociaż w archiwum papieskiem nie znaleziono żadnych wskazówek, obwieścił jednakże papież Bonifacy VIII. po zasięgnięciu rady kardynałów, iż wszyscy którzy po przyjęciu Sakramentów św., zwiedzą po 30 razy, jeżeli są Rzymianinami, po 15 zaś, jeżeli zdala przybyli, bazylikę św. Piotra i Pawła, dostąpią najzupełniejszego odpustu przywiązanych do

pokuty kar. Napływ pątników trwał bez przerwy cały rok. Liczba ich doszła do 200.000. Ta liczba świadczy o żarliwej pobożności ówczesnych chrześcijan, mianowicie jeżeli się zważy, iż odbywano pielgrzymki te pieszo, bez znajomości języka ludności, przez której kraj przechodzono, że nie rzadko srożyły się w tych krajach wojna, lub morowe powietrze, a drogi zalegali rozbójnicy, czychający na mienie i życie pątników. Wszystkie te przykrości nikły atoli na wspomnienie Rzymu, na którego widok zalewali się pątnicy łzami, padali sobie wzajemnie w objęcia i całowali ziemię. Choć upadali ze znużenia, nie spoczęli, dopóki nie oddali hołdu księciu Apostołów, wchodząc na kolanach po 21 stopniach schodów, prowadzących do kolumnady św. Piotra.

Ogłoszenie jubileuszu na rok 1300 uwidocznił z polecenia Papieży malarz Giotto obrazem w Lateranii, a nadto ulano dla św. Piotra nowe dzwony śpiżowe.

Wiek czternasty sprowadził na kościół wielkie nieszczęścia; raz niewolę papieży w Awinionie, a powtóre wynikłe z niej rozdwojenie. Na domiar tego nieszczęścia zjawiło się w Europie dziesiątkujące ludność powietrze morowe. Pod wpływem tych klęsk miękły umysły i skłaniały się ku pokucie. Rzymianie wysłali do Awinionu posłów z prośbą, o urządzenie jubileuszów co 50 lat, na co się Papież Klemens VI. zgodził, kładąc pielgrzymom za obowiązek zwiedzanie prócz bazyliki świętego Piotra i Pawła, jeszcze i świątyni św. Jana w Lateranie. Na ogłoszony jubileusz przybyło tylu pielgrzymów, że powstała obawa o ich wyżywienie, z uwagi na to, obniżył Papież dni pielgrzymki dla zamiejscowych z 15 na 8 dni, a nawet tylko na 1 dzień.

Roku 1377 powrócił Papież Grzegorz XI. z Awinionu i w rok potem umarł. W jego miejsce wybrano Papieżem Urbana VI, a w Awinionie obwołali pozostali kardynałowie papieżem Benedykta XIII. Dla zjednoczenia choćby w modlitwie rozdartego Kościoła, postanowił Urban VI. odprawianie jubileuszów na pamiątkę życia Pana Jezusa na ziemi co 33 lata. Następca tegoż Marcin V. obwieścił co prawda w myśl postanowienia poprzednika r. 1423 lato miłościwe, lecz przybyło na nie tak mało pątników, że wrócono znowu do 50 i 25-letniego okresu. Jubileusz roku 1450 upamiętnił się w historyi jubileuszów raz niezwykłą i niewidzianą dotychczas liczbą pątników, a powtóre nieszczęściem, jakie się wydarzyło na moście anielskim. Jednemu z jeźdźców spłoszył się muł, skutkiem czego powstał popłoch i załamała się poręcz u mostu.

Przeszło 200 ludzi wpadło do rzeki i znalazło śmierć w jej nurtach.

Jubileusz w roku 1500 odprawiono „otworzeniem po raz pierwszy bramy świętej lub złotej — porta sancta lub aurea“. Cztery bazyliki rzymskie św. Piotra, Pawła, Jana Laterańskiego i Panny Maryi (Sancta Maria maggiore) są świątyniami o pięciu nawach i tyluż bramach. Piąta brama atoli na prawo jest u wszystkich tych świątyń zamurowana i otwiera ją się tylko w lecie miłościwem. Rytuał wraz z modlitwami ułożył z polecenia Papieża mistrz ceremonii Burkhard z Strasburga. Przed nieszporami wigilii Bożego Narodzenia roku 1499 udał się Papież Aleksander VI, w otoczeniu kardynałów i wyższych prałatów, w sedia gestatoria, w potrójnej koronie na głowie i z grubo pozłacaną gromnicą w ręce w uroczystej procesyi do Watykanu do świątyni św. Piotra. Przybywszy na miejsce, odesłał trzech kardynałów z poleceniem otworzenia w jego imieniu bram trzech pozostałych świątyń, sam zaś przystąpił, po odśpiewaniu przez śpiewaków swojej kapeli psalmu „Jubilate Deo omnis terra“, do bramy i po trzykroć uderzył srebrnym młoteczkiem w mur, który stojący na pogotowiu murarze rozebrali; poczem procesya odmurowaną bramą weszła do kościoła.

Z następujących powodów nie dopisał ogłoszony przez Klemensa VII jubileusz na r. 1525: Górne Włochy niepokoiła wojna, Niemcy stały całe w płomieniach, wznieconych nowinkami Lutra, a w samym Rzymie grasowały różne choroby zaraźliwe.

Zamknięcia lata miłościwego, które Aleksander VI polecił dwom kardynałom, dokonał sam Papież Klemens VII. Do świątyni weszła procesya z Papieżem na czele przez bramę świętą przy śpiewie hymnów i psalmów. Tutaj, poświęciwszy rozrobione wapno i cegły, przepasał się Papież białą przepaską i rzucił na próg po trzykroć srebrną kielnią wapna, na które, po wciśnięciu kilku srebrnych i złotych monet, położył wśród odmawiania modlitw pierwszą cegłę. Za jego przykładem poszli wielki penintencyarz oraz spowiednicy od św. Piotra, poczem murarze drzwi zamurowali. Udzielenie z loży kościoła błogosławieństwa zakończyło jubileusz.

Przez ceremonią „otwierania świętej bramy“ wskazuje Kościół św. na skarbnicę nadzwyczajnych łask, jakie w czasie jubileuszu wiernym rozdaje, albo ma ono posłużyć za wskazówkę, że teraz nawet dla zatwardziałych grzeszników otworzyła się droga do zbawienia, albo ma ono przypominać

nam słowa z Pisma św., iż Chrystus jest drzwiami, dającemi nam przystęp do Ojca.

Jubileusz, przypadający na rok 1550, ogłosił wprawdzie Paweł III, lecz umarł przed jego otworzeniem. Odprawił go następca, papież Juliusz III.

Przy odgłosie trąb i bębnów, biciu z armat i we wszystkie dzwony ogłosił papież Grzegorz XIII jubileusz na r. 1575. Jubileusz ten odbył się bardzo uroczyście i przy udziale ilości pątników, jakiej już dawno w Rzymie nie widziano. Dobrym przykładem przyświecał sam Papież: w szatach pokutniczych zwiedzał często cztery bazyliki. a choć już 80 lat liczył, na klęczkach wchodził po schodach świętych.

Pobożność tego starca i gorliwość w służbie Bożej pątników. w podziw wprawiała licznych z ciekawości do Rzymu przybyłych protestantów, z których się dużo nawróciło. Czytamy w dzienniku gospody pątniczej pod wezwaniem św. Trójcy, że pewnego dnia nawróciło się dwunastu protestantów, a pomiędzy nimi kilku predikantów, którzy na nowo za pośrednictwem wielkiego penitencyarza, naszego Hozyusza, kardynała warmińskiego, do społeczności z Kościołem katolickim przyjęci zostali. Pomiędzy tymi znajdował się także pewien polski minister dysydencki, którego przywiodła ciekawość przypatrzenia się „rzymskiemu Babilonowi w roku jego zamieszania“; ten, przebrany za pątnika został przyjętym w gospodzie świętej Trójcy, gdzie mu kardynał Ferdynand Medicijski (Ferdynand Medici) nogi umywał. Budująca pobożność Papieża i gorąca wiara pątników tak głębokie na nim sprawiły wrażenie, że pewnego dnia, gdy Grzegorz XIII w sykstyńskiej kaplicy spełniał ofiarę świętą, rzucił mu się, przedarłszy przez straże, do nóg i wyznał ze łzami i głośno wobec obecnych, iż uczył przez 23 lat błędnej nauki, lecz teraz, oświecony przez Ducha św., poznał swój błąd i do prawdziwego Kościoła wrócić pragnie!

Przyjętym zwyczajem odbyły się lata miłościwe w roku 1600, 1625, 1675.

Jubileusz w roku 1700 otworzył w imieniu schorzałego i podeszłego w latach Papieża Innocentego XII, kardynał de la Tour. Przy ceremonii tej była obecną królowa wdowa Marya Kazimira, małżonka naszego króla Jana Sobieskiego, wielkiego pogromcy Turków, która z swoimi dwoma synami Aleksandrem i Konstantym cały rok w Rzymie bawiła, a pobożnością swoją wszystkich budowała.

Po Inocentym XII zasiadł na Stolicy Piotrowej Klemens XI. Urządzone przezeń lato miłościwe wypadło bardzo skromnie. Za przykładem kilku swoich poprzedników rozciągnął Klemens XI jubileusz po upływie roku na cały świat katolicki, żeby umożebnić dostąpienie łask i odpustu lata miłościwego tym, którzy do Rzymu przybyć nie mogli.

Jubileusz roku 1725 odprawił Papież Benedykt XIII, a r. 1750 wielki Benedykt XIV.

Lato miłościwe na rok 1775 zapowiedział wprawdzie Klemens XIV, lecz nie doczekał się tegoż, bo umarł 22 września r. 1774. Dopiero w lutym przyszłego roku wybrano Papieżem Piusa VI, który 26 lutego otworzył bramę świętą. Pątników atoli przybyło do Rzymu tak mało, jak jeszcze nigdy dotychczas. Dawna gorliwość religijna ustąpiła miejsca racyonalizmowi i niewiarze wyszłym z Francyi i rozlewającym się szerokim strumieniem po Europie. Pod naporem wrogich Kościołowi prądów widział się Papież Klemens XIV zniewolonym do zniesienia r. 1773 zakonu Jezuitów. Wogóle skończył się wiek XVIII dla Kościoła niepociesznie; sam Papież Pius VI umarł 29 sierpnia r. 1799 jako jeniec Napoleona w Walencyi.

Ucieczka nieszczęśliwych.

(Legenda nadreńska).

Kraj nad rzeką Renem, tak słynny z piękności przyrody, jest przedewszystkiem, od czasów Karola Wielkiego, krajem pamiątek, malowniczych ruin i legend średniowiecznych.

Po upadku państwa rzymskiego, potężny ten monarcha, którego żelazna korona całą Europę pokryła, na wszystkich górach Germanii i Galii dźwigał obalone fortece i dawał je swym zwycięskim towarzyszom broni, aby strzegli nowych plemion w państwie jego osiadłych. Tak więc po obu stronach Renu każda góra miała swego hrabiego i swój zamek obronny.

Po śmierci Karola Wielkiego dumni ci kasztelani, nie uznając nad sobą władzy, ogłosili się niezależnymi, i przepędzali życie w wojennych wycieczkach, najazdach, walkach pomiędzy sobą i z postronnymi.

Jednakże religia Chrystusowa łagodziła ich dzikie obyczaje, i nie raz na głos bezbronnego kapłana, lub ubogiego pustelnika, straszliwi ci rycerze nawracali się i sprawiedliwość pokrzywdzonym wymierzali.

Pomiędzy miasteczkami Andernach i Ober-Wezel, gdzie Ren w szerokich zakrętach majestatycznie płynie, na wysokiej górze, jakby się w kryształowych wodach przeglądały, wznoszą się malownicze ruiny zamku Wehrda, o których tameczni mieszkańcy taką historyę opowiadają:

Przy końcu XII wieku żył w tym zamku hrabia Ulrych Wehrda. Był to jeden z małej liczby nadreńskich panów, którzy na apostolskie upomnienia kapłanów serce swe otworzyli. Nawrócony w młodości, zaślubił bardzo zacną i pobożną dziewicę, która go swym wpływem na drodze cnoty utrzymała. Matylda, córka walecznego rycerza, zmarłego w służbie cesarza austryackiego, sierota od dzieciństwa, wychowaną była we wszystkich cnotach chrześcijańskich. Miała ona szczególne nabożeństwo do Matki Boskiej, i do niej się we wszystkich potrzebach udawała. To też Królowa Niebieska wspierała ją w ciężkich kolejach losu, i po srogich burzach spokój i pociechę dla niej zjednała.

Hrabia Ulrych Wehrda miał potężnego nieprzyjaciela w osobie sąsiada swego, hrabiego Hugona Katzenellenbogen, człowieka dzikich obyczajów, mściwego, okrutnego, który z bandą awanturników napadał na zamki i sioła, wszystko rabował i niszczył, ale szczególniej złość swą na swego sąsiada wywierał. Bronił się jak mógł hrabia Ulrych, lecz, ustępując przeważnej sile, zmuszony był często prosić o pokój, a mógł być lada dzień ze swego zamku wygnanym lub przez najezdników zamordowanym.

Parę lat jednakże spokojnie upłynęło, co hrabia przypisywał pobożnym modlitwom swej małżonki; w tem nagle nadchodzi wiadomość, że hrabia Hugon, wróciwszy z łupami z dalekiej drogi, nową wyprawę na sąsiada gotuje.

Wnetże Ulrych zbroję przywdziewa, staje na czele swojego wojska, i nie czekając na nieprzyjaciela, spieszy na jego spotkanie. Gdy wszystko do wyprawy wojennej przygotowano, hrabina Matylda, prowadząc za rączkę małego Alberta, szła z mężem do bramy zamkowej. Hrabia ściskał ich i błogosławił wobec swych wasalów, którzy wznosząc broń do góry przysięgali zwyciężyć lub umrzeć dla tak dobrych panów.

— Dziękuję wam, przyjaciele moi, wołał wzruszony; liczę na was! Bóg mi świadkiem, że rodzina moja i ja tylko szczęścia waszego pragniemy... i teraz widzicie, żem gotów przelać krew moją, broniąc was od napaści niegodziwych sąsiadów. Nie idziemy, jak hrabia Hugon, krzywdzić i obdzierać spokojnych ludzi, bronimy tylko naszych rodzin, naszej domowej

strzechy i Bóg nam dopomoże. Hrabina Matylda, wasza pobożna pani, którą wy Aniołem Wehrdy zowiecie, będzie się modliła za nas i zwycięstwo nam uprosi...

Głośne okrzyki przerwały mowę hrabiego: Niech żyje Anioł Wehrdy! niech żyje hrabia Ulrych! wołali poczciwi wieśniacy.

— Słyszysz, droga Matylko, mówił dalej hrabia; nie wątpię o ich wierności i w dobrej nadziei śpieszę na nieprzyjaciela. Gdyby jednak podobało się Panu Bogu doświadczyć nas, gdyby nam majętność naszą wydarto, szukaj obrony u cesarza... syna w pobożności wychowaj, i módlcie się za duszę moją; abyśmy, rozdzieleni na czas krótki na ziemi, w Niebie się na wieki złączyli!

Wszyscy płakali; hrabina we łzach tuliła dziecię do łona; była to rzewna i bolesna chwila... Nareszcie Ulrych dał znak do odjazdu i powierzając żonę i syna opiece starego wiernego sługi, puścił się wąwozem pomiędzy górami.

II.

Długo po tem smutnem pożegnaniu głos trąbki wojennej w górach się rozlegał, długo broń poczciwych wiarusów w blasku słońca błyszczała, aż wszystko znikło wśród dębów wehrdeńskiego lasu.

Matylda pośpieszyła do kościoła; tam, upadając do stóp ołtarzy, wylała przed Zbawicielem duszę swoję... W Sercu Jezusa uczyła się cierpliwości, pokory, rezygnacyi. . W tem sercu zawsze dla nas otwartem czerpała ona moc i siłę na wszystkie boleści życia.

Wieczorem zeszła do parku, zbierała kwiaty, składała bukiety na ozdobę obrazu Matki Boskiej w małej kapliczce znajdującego się.

— O Matko miłosierdzia! wołała pobożna hrabina, upadając na kolana, chociaż się boję przyszłości i cierpień, jakie na mnie spaść mogą, wszakże poddaję się woli Bożej i w Tobie, o Maryo! całą ufność moją pokładam.

Noc była śliczna, blaskiem księżyca osrebrzona; wierzby i białodrzewy okalały rzekę w szmaragdową zieloność wodnych roślin oprawną. Cisza panowała urocza, czasem tylko słowik nucił urywane strofy w gęstwinie... Matylda długo się modliła i płakała... gdy znagła usłyszała trzykrotny głos trąby... straż zamkowa odpowiedziała na to umówione hasło... spuszczono

zwodzony most, w kilka minut hrabia Ulrych ze zwycięskim hufcem stanął na zamku.

— Dzięki Bogu! zawołał, ściskając małżonkę i syna; nieprzyjaciele nasi dobrą dostali naukę. Hrabia Hugo, spodziewając się zastać nas nieprzygotowanych, sam dowodził wyprawą. Myśmy ich zdala spostrzegli... i skoro weszli do lasu, spotkaliśmy ich tak dzielnie, że się wnet cofnęli i ze wstydem uciekli.

Nazajutrz był to dzień radosny. Po dziękczynnem nabożeństwie i odśpiewaniu „Te Deum“, poczciwi wieśniacy Wehrdy, z których żaden nawet nie był raniony, zebrali się na ucztę. Matylda sama ich częstowała. Wieczorem wszyscy wrócili do domów, mały oddział ochotników na straży zamku zostawiając.

Gdy byli tylko sami, Matylda pytała męża, dlaczego hrabia Katzenellenbogen z taką zawziętością prześladuje spokojnych mieszkańców Wehrdy, którzy mu nic złego nie zrobili?

— Ach! moja droga, rzecze Ulrych, to długa historya; opowiem ci tylko główne takowej wypadki:

Przodkowie moi posiadali na granicy czeskiej zamek Falkenberg; tamem się urodził. Matka moja umarła zostawiając mię dziecięciem; ojciec zbolały po tej stracie, służąc w wojsku w tym czasie ciągłych wojen i zamieszek, nie mogąc się zająć wychowaniem syna, powierzył mnie opiece przyjaciela swego hrabiego Molsheima, który z największą miłością kształcił mię we wszystkich naukach, stanowiących wówczas wychowanie młodego rycerza.

Miałem 19 lat, gdy ogłoszono wielkie turnieje, na których się miała popisywać młodzież z całego państwa zebrana. Opiekun mój chciał, żebym brał udział w tej zabawie. Los dał mi za przeciwnika hrabiego Hugona, który, pokonany w potyczce, runął z koniem na piasku... Zwycięstwo moje hucznie obwołano, cesarz dał mi w nagrodę złoty łańcuch z krzyżem dyamentowym. Byłem szczęśliwy z tego powodzenia; ale od tego dnia również wszystkie cierpienia moje się zaczęły: bo Hugo człowiek dumny i zawzięty, chcąc się zemścić za swe upokorzenie, z bandą awanturników napadł na zamek mojego ojca. Pospieszyliśmy z opiekunem na ratunek jego, ale już było za późno... w krwawej bitwie ojciec mój zwyciężony, zamek zrabowany i zniszczony został...

— O Boże! cóż się stało? gdzież jest mój ojciec? — pytam opiekuna, widząc go w niemej boleści stojącego...

— Nieszczęście! Ojciec twój poległ bohaterską śmiercią, i przykład cnót swoich w dziedzictwie ci zostawił...

W tej chwili łuna pożaru błysnęła w ciemnościach... zamek Falkenberg gorzał w płomieniach, i w kilka godzin z tej starożytnej fortecy tylko dymiące zgliszcza zostały... W jednej nocy straciłem ojca i fortunę!

Zacny mój opiekun, hrabia Molsheim, zabrał mię z sobą, z ojcowską miłością czuwał nad sierotą, a chcąc niejako w smutku pocieszyć, ofiarował mi część majętności swoich.

— Jesteś przybranym synem moim, rzecze raz do mnie, powinienem los twój zapewnić. Mam w obwodzie Reńskim zamek Wehrda; mała to posiadłość, ale wiesz, żem nie bogaty, przyjm to, co ci dobrem sercem ofiaruję. Poczciwi wieśniacy, osiedleni na tej ziemi, bardzo mi są życzliwi; bądź dla nich dobrym, a pozyskasz ich serca.

Takem zamieszkał na tej górze; a niespodzianym wypadkiem się zdarzyło, że cesarz za jakieś wojenne zasługi, dał Hugonowi Katzenellenbogen ten zamek, który on teraz zajmuje. Mając tedy za sąsiada największego wroga, często byłem do orężnej z nim walki zmuszony, gdy nareszcie hrabia Molsheim stanął jako pośrednik między nami i pokój zjednał. Przyrzekłem Bogu nie brać cudzej własności, alem powinien bronić dziedzictwa syna mego, bronić od napaści i łupiestwa poddanych moich. Uczyniłem Hugonowi wszystkie możebne ustępstwa, z największą cierpliwością krzywdy jego znoszę, lecz gdy on ciągle zguby mej pragnie, ja też do ostatka bronić się muszę.

III.

Gdy hrabia Ulrych słów tych domawiał, dano znać, że Hugo, zebrawszy swe wojsko, wkroczył wąwozem i przez sutereny idzie na zamek.

Jednocześnie dały się słyszeć krzyki zbliżających się żołnierzy: Ulrych porwał się do broni.

— Droga Matylko! zawołał, Bogu cię oddaję! Schroń się z dziecięciem do kaplicy, a kiedy i tam nie będziesz bezpieczną, uciekaj skrytą furtką, którą znasz pod figurą Matki Boskiej. Oto masz klucz: krętemi schodami dostaniesz się do lasu; tam czekaj na mnie... a jeżeli nie przybędę, to wiedz żem zabity lub w niewolę wzięty..., a w takim razie Opatrzność Boska wskaże ci schronienie i czuwać będzie nad tobą!

To mówiąc rzucił się na nieprzyjaciela... Piekielna wrza-

wa napełniała zamek... Matylda upadła na kolana, wzywając miłosierdzia Bożego, a gdy gwar nie ustawał, schroniła się do kaplicy.

Hrabia Ulrych bronił się z bohaterską odwagą... lecz widząc sługi swoje polegle, oskoczony przez nieprzyjaciół, wzięty w niewolę i przed Hugonem został stawiony.

— Ha! krzyknie dziki zwycięsca, będziesz teraz dowoli rozmyślał o turniejach i o złotym łańcuchu, któryś tam dostał!

Ulrych związany, na wozie, widząc swój zamek w płomieniach, modlił się i korzył przed Panem.

— Boże mój! mówił ze łzami, daj mi cierpliwość i poddanie się wyrokom Twoim!... Łączę boleść moję z Męką i z boleściami Odkupiciela mojego... Przyjmij ją, o Panie! za grzechy moje, a miej nas wszystkich w łasce i opiece Swojej.

Ta pokorna modlitwa ulżyła mu nieco boleści i usnął na wozie. Matylda skryła się przed poszukiwaniem napastników; mężna w nieszczęściu, nie upadła na duchu..., łaska Boska wspierała ją, a gdy ujrzała pałac w płomieniach, podziemną kryjówką dostała się do lasu. O! jakaż boleść serce jej ścisnęła! Za sobą widziała zamek jak wulkan gorejący... przed sobą wygnanie i nędzę... Na domiar nieszczęścia nie mogła wziąść pieniędzy na swoje i dziecięcia potrzeby; nie można było znaleźć przytułku w okolicy wojną spustoszonej; trzeba więc było iść na oślep, przez góry i lasy... dzikimi owocami się żywić... Dziecię z głodu i znużenia płakało, biedna matka wzięła je na ręce.

— O Boże! zawołała z boleścią, daj nam przynajmniej znaleść jaką wieśniaczą chatę, gdzieby nam nie odmówili kawałka chleba i garści słomy na spoczynek!

IV.

Zamek hrabiego Hugona był ponurą i straszną fortecą, najeżoną basztami, otoczoną wiekowym lasem, nieprzystępnym jak góry, na których się dęby wspinały. U podnóża zamku wody Renu rozbijały swe szumiące bałwany, pokrywając białą pianą mchem porosłe skały. Miejsce z natury tak obronne, nie mogło być zdobyte żadnymi wówczas znanymi sposobami oblężenia.

Hugo, pomimo dzikich obyczajów, miał dobrą i cnotliwą małżonkę. Emma Katzenellenbogen, poznawszy ledwo po ślubie srogi i okrutny charakter męża, gorzko los swój opłakiwała. Z początku starała się wpłynąć na niego, błagając ze łzami,

żeby zaniechał zdzierstwa, rozbojów, tak poniżających szlachetnego rycerza; żeby pracował nad uszczęśliwieniem poddanych swoich... Hrabia czasami zdawał się te uwagi przyjmować, ale najczęściej na jej prośby odpowiadał bluźnierstwem; a potem wsiadłszy na koń pędził po górach i lasach, aż nareszcie u którego z sąsiadów w pijaństwie ostatni krzyk sumienia utopił.

Biedna Emma, widząc że wszystkie przedstawienia daremne były, milczała, tylko się gorąco modliła, żeby Pan Bóg serce jego odmienił.

W więzieniu zamkowem jęczało wiele ofiar dumy i chciwości Hugona. Emma nieraz za nimi się wstawiała, lecz losu ich złagodzić nie mogła.

Życie takie byłoby nieznośnem dla biednej kobiety, ale na szczęście hrabia po kilka miesięcy w domu nie bywał; wtedy małżonka jego używała nieco swobody, odwiedzała swych poddanych, którzy ją niezmiernie kochali. Jedyną towarzyszką Emmy była jej córka Gizela, dobre i pobożne dziecię: ale dwunastoletnia dzieweczka nie rozumiała jeszcze wszystkich cierpień swej matki; często z nią płakała nie wiedząc przyczyny jej zmartwienia, bo Emma nie chcąc dać córce złego wyobrażenia o ojcu, ukrywała przed nią wiele okropnych scen. które z tego zamku istne piekło czyniły.

Obie smutne siedziały z robotą w swoim pokoju, gdy żołdactwo Hugona, złupiwszy i spaliwszy zamek Wehrda, z wielkim hałasem do fortecy wróciło; i sam hrabia, rzucając za sobą ostatnie rozkazy, rychło się na sali ukazał. Powrót jego do domu dla nikogo nie był radosnym. Nigdy on nie miał dobrego słowa dla swej rodziny; z żoną i córką rzadko kiedy rozmawiał: tego jednak wieczora zwycięstwo rozpędziło chmury jego dzikiego oblicza, bo kazawszy podać ogromny puhar reńskiego wina:

— Zdrowie wasze zacne panie! krzyknął piorunującym głosem. Dobry dzień dziś mamy, wsadziłem do klatki arcypotężnego hrabiego Wehrda!!!

To mówiąc wychylił czarę, potem drugą i trzecią... nareszcie krwią i winem upojony, w swoim fotelu zasnął.

Małżonka jego, zgrozą przejęta, upadła na kolana:

— Boże mój! zawołała z boleścią, Ty wiesz, żeśmy tej zbrodni niewinne! Przyjmij łzy i błagania nasze... wstrzymaj miecz pomsty nad tą występną głową... daj grzesznikowi czas do pokuty...

V.

Matylda długo idąc nieznaną drogą, strudzona, przyszła z małym Albertem na wysokie wzgórze, z którego na obwód Reński wspaniały roztaczał się widok. Dziecię z głodu i pragnienia płakało, matka cierpienie syna podzielała.

— Biedne dziecię! mówiła wzdychając, o jakże łzy twoje serce mi rozdzierają! Boże, zmiłuj się nad nami! daj nam przytułek, żebyśmy z nędzy nie zginęli!

Gdy się tak modliła i płakała, młoda wieśniaczka, idąca drogą z koszykiem na głowie, przed nią stanęła.

— Bardzoś zmęczona, moja pani, rzecze uprzejmie do niej; już późno i przed nocą nie zajdziecie do wioski, u stóp tej góry leżącej.

— Moje dziecię, odpowie hrabina, nie wiemy dokąd idziemy. Jestem biedna wygnanka, nieznana w tych stronach, ledwo z jałmużny możemy dostać trochę chleba na wyżywienie nasze. Ja mogłabym iść trochę dalej, ale syn mój nie może, bo cały dzień dziś nic w ustach nie miał.

— Ach! biedactwo! zawołała dzieweczka, dziękuję Bogu, że mię do was przysłał... Mam tu dosyć wszystkiego, możecie się oboje posilić.

To mówiąc wyjęła z koszyka chleba, masła, sera, wędliny i podróżnym podała. Nalała potem do kubka mleka, żeby się napili.

— Nie mogę was tak na drodze zostawić, rzecze nareszcie do Matyldy; kiedy nie macie przytułku, pójdźcie ze mną do wioski, rodzice moi nie są bogaci, ale tem, co im Pan Bóg dał, chętnie się z biednymi dzielą. Pójdź ze mną droga pani, będziesz tu z miłością przyjęta; pod naszą strzechą rodzinę swą znajdziesz.

— Niech cię Bóg błogosławi miła dzieweczko, odpowie hrabina Wehrda; tyś mi obrazem Opatrzności... Pan Bóg nagrodzi dobre serce twoje. Ale czyś pewna, że rodzice twoi chętnie nas przyjmą.

— Ach! pani! żeby mój ojciec wiedział, żeś tak opuszczona i smutna, samby tu przyszedł i prosił, żebyś w jego domu gościnność przyjęła. We wsi naszej wiele serc litościwych znajdziesz.

Matylda, pełna wdzięczności, powstała, wzięła dziecię na ręce, i zstępując po pochyłości góry utrudzona, rychło do wioski przybyła.

— Oto i dom mego ojca, zawołała dzieweczka, wskazując na wiejską chatę ocienioną lipami, z pięknie uprawnym ogrodem.

— Drogie dziecię! rzecze Matylda, idź uprzedzić twoich rodziców; nie wypada, żebyśmy bez ich zezwolenia pod dach ich weszli.

Dzieweczka pobiegła, a wnetże drzwi się otworzyły, i sędziwy wieśniak z fajką w ręku, a za nim jego żona, oboje z wyrazem dziwnej słodyczy i dobroci, zwolna z chaty wyszli.

— Witajcie nam, kochana pani, rzecze poczciwy Bertram, odkrywając siwą głowę. To trochę, czem nas Pan Bóg obdarzył, do ubogich i cierpiących należy. Błogosławiony podróżny, który w ubogim domku naszym gościnność przyjmie!

Matylda, taką uprzejmością wzruszona, uczciła wysoką pobożność tej zacnej rodziny.

— Niech Bóg błogosławi waszę córkę, odpowiedziała ze łzami w oczach; żeby nie ona, możebym tej nocy z dziecięciem z głodu umarła. Niczem nie mogę wam okazać wdzięczności mojej, ale Bóg sam wypłaci ten dług serca mego.

Stary Bertram wprowadził nieznajomą do swego domu, żona jego, Berta, ustąpiła dla Matyldy swej izdebki, a mały Albert oddany był w opiekę dobrej dzieweczki Lizy, która go jak braciszka swego piastowała. Po wieczerzy Bertram, wspólnie odmawiając wieczorne modlitwy, dziękował Bogu, że mu obowiązek chrześcijańskiej miłości względem bliźniego, tego dnia spełnić dozwolił.

Nazajutrz o świcie, Matylda jakimś szmerem ze snu zbudzona, ujrzała żonę Bertrama w świątecznem ubraniu do izdebki wchodzącą.

— Pani! rzecze do niej z miłym uśmiechem; dziś obchodzimy święto naszego Patrona, radzibyśmy, żebyś ten dzień z nami przepędziła.

— Bardzo chętnie, odpowie hrabina, ale wybaczcie, że nie mogę radości waszej podzielać... tylem już w życiu cierpiała... i tyle jeszcze cierpieć muszę!...

Zdziwiła się wieśniaczka, słysząc te słowa. Szlachetna postać nieznajomej, piękne rysy jej twarzy, bogaty ubiór, dziwny wdzięk w całej jej osobie rozlany, jeszcze z wieczora zwróciły jej uwagę i długo o tem z mężem rozmawiała. Zdawało się jej, że ta nieznajoma wielkiego była rodu, i w jej życiu jakieś nadzwyczajne zaszły wypadki; ale Bertram o nic się nie pytał, dopóki sama podróżna zwierzyć się mu nie zechciała.

Ranek był piękny i pogodny; mieszkańcy wioski w świątecznym stroju zgromadzili się do kościoła. Matylda z niewymowną pociechą serca wysłuchała Mszy św., Chlebem Anielskim się zasiliła i poznawszy zacnego proboszcza tej parafii, księdza Webera, otworzyła mu duszę swoją, i odtąd ten świątobliwy kapłan stał się jej opiekunem, pomocnikiem i doradcą we wszystkich potrzebach tułaczego jej życia.

Po nabożeństwie wielu sąsiadów zgromadziło się w domu Bertrama, który wszystkich uprzejmie powitawszy, przedstawił im podróżnych jako drogi skarb, którym go Niebo wzbogaciło, a wszyscy ci dobrzy ludzie w chrześcijańskiej prostocie tego szczęścia mu winszowali.

Gdy nadeszła chwila wspólnego posiłku, zacny proboszcz, błogosławiąc tę wiejską ucztę, rzecze do zgromadzonych:

— Mili bracia! Oto Opatrzność przysłała wam nową siostrę i dzieciątko. Nie pytajcie, kto oni są i skąd przychodzą; bo oni jak i my są dziećmi Bożemi, i przychodzą w imię Ojca Niebieskiego, który wam chleb powszedni daje. Dzielcie się tym chlebem dziś i codzień z nieszczęśliwą ofiarą losu. Nie będzie to jałmużna, ale dobra sposobność zebrania skarbów i zasług na żywot wieczny.

— Błogosławieni, którzy przychodzą w Imię Pańskie! zawołali jednym głosem poczciwi wieśniacy. Nie sam jeden ojciec Bertram będzie miał zasługę dobrego uczynku! każdy z nas według możności weźmie w nim udział. Jutro, nie dalej, taką chatkę jak nasze, dla przybyłej pani zbudujemy.

Przyrzeczenie to święcie spełnionem zostało. Młodzież wiejska wzięła się ochoczo do pracy, i w kilka dni hrabina Wehrda, którą wszyscy siostrą zwali, miała piękny domek we wszystkie sprzęty zaopatrzony, blizko mieszkania Bertrama, który obowiązek dostarczenia żywności przyjął na siebie.

Matylda przędła len i wełnę, szyła bieliznę i inne rzeczy, co jej na skromne utrzymanie wystarczało; ale przedewszystkiem zajmowała się wychowaniem małego Alberta. Dopomagał jej w tem zacny ksiądz Weber, kształcąc umysł i serce młodzieńca, oświecając go światłem wiary, miłość Boga i ludzi w nim zaszczepiając. W godzinach wolnych od nauki Albert podzielał zabawy młodych wieśniaków, którzy go nauczyli układać sokoły do polowania, albo pod okiem Bertrama uplatał z łozy koszyki i klatki, które w poblizkiem miasteczku sprzedawał, co zwiększało dochód ubogiej rodziny.

Tak mijały miesiące i lata, Matylda od całej wsi szanowana i kochana, wszystkim przykładem cnót i pobożności

świeciła. Codzień z rana w kościele Mszy św. słuchała. Chlebem Anielskim się zasilała w tem źródle miłości, łaskę i siłę do znoszenia srogiego losu czerpała. Albert przez matkę i świątobliwego kapłana do pierwszej Komunii przygotowany, z gorącą miłością Boga do serca swego przyjął, a pomnażając się w lata i w cnoty, stał się ulubieńcem tych wszystkich wieśniaków.

Pewnego dnia, podróżując w górach z osiołkiem, koszykami i klatkami obładowanym, usłyszał jakiś jęk blizko drogi. Wnetże się zwraca w tę stronę i spostrzega leżącego pod drzewem młodego wieśniaka, który przypadkiem zraniwszy sobie nogę, tamował krew z szerokiej rany płynącą.

Albert wzruszony litością, podarł swą koszulę, obwiązał nogę chorego, nakarmił go tem, co mu na jego posiłek dano, i wsadziwszy na osła zawiózł go do najbliższej wioski, gdzie wynajął dla rannego mieszkanie i oddał mu wszystkie pieniądze, jakie za sprzedane koszyki zebrał.

Wróciwszy do domu zapłakał rzewnie:

— Droga matko! rzecze do hrabiny, jestem złym synem, nic tobie dziś nie przynoszę... wszystkom oddał biedniejszemu odemnie choremu wieśniakowi. Matylda gdy się dowiedziała o tem co zaszło, uściskała syna z czułością:

— Nie smuć się, moje dziecię, rzekła do niego; nie trzeba nigdy dobrego uczynku żałować, bo to nasienie owoce wiecznego szczęścia wydaje. (Dokończenie nastąpi).

Z góry Alwerni

(Krótka historya klasztoru OO. Bernardynów i cudownego obrazu P. Jezusa Miłosiernego).

Na granicy Górnego Śląska dwie mile od granicy pruskiej i rosyjskiej, wznosi się w Księstwie Krakowskiem na górze wysokiej wśród lasów piękny kościół i klasztór Braci Mniejszych św. Franciszka (OO. Bernardynów) nazwany Alwernią. Miejsce to pustelnicze, słynne od roku 1686 z powodu obrazu cudownego Pana Jezusa miłosiernego, było już w wieku przeszłym pielgrzymek licznych przedmiotem dla Górnoślązaków jako też okolicznych mieszkańców dalszych, a od roku 1892 roi się góra Alwernia zwłaszcza na odpusta liczne od ludu pobożnego z Prus i Królestwa Polskiego, tutaj przed obrazem P. Jezusa się korzącego.

W wieku bieżącym klasztór i kościół podupadł, potrzeba było wielkich ofiar, aby tę ubogą pustynię zakonników odre-

staurować, a potomkom naszym do zamieszkania i do głoszenia chwały Bożej możliwą uczynić. Zakonnicy zapukali do serc ofiarności pobożnego ludu; popłynęły ofiary z różnych stron Polski, ale najwięcej od pobożnych braci z Górnego Śląska pruskiego, z Księstwa Poznańskiego, z Prus wschodnich, od robotników polskich w Westfalii, ze Śląska austryackiego, z Królestwa Polskiego a w bardzo małej części z Galicyi biednej, w której kapitałami przeważnie żydzi rozporządzają.

Po kilku latach pustynia Alwernia przybrała odnowioną szatę; kościół i klasztór cały pokryty, zewnątrz i wewnątrz odrestaurowany, kościół cały i ołtarze odmalowane polichromią piękną, kaplica Pana Jezusa cudownego wspaniale przyozdobiona, cztery kaplice w lesie służące do procesyi Bożego Ciała z gruntu nowe wystawione na miejscu chylących się ku upadku kaplic, brakowało jeszcze temuż kościołowi wieży wysokiej, którąby stercząc po nad drzewa leśne, głosem dzwonów głosiła światu, że na tej górze znajduje się cudowne miejsce Pana Jezusa miłosiernego. Wieżę tę budujemy od dwóch lat i już w połowie tej kosztownej budowy jesteśmy, dlatego też ten opis krótki niech będzie zachętą pobożnych serc do ofiary na cel budowy wieży i na sprawienie dzwonów na górze Alwerni.

Podzięka serdeczna należy się wszystkim, zwłaszcza Górnoślązakom, dalej Braciom z Księstwa Poznańskiego, z Prus wschodnich i Westfalii za ofiary dotychczas pocztą przesyłane lub osobiście składane.

Lecz wróćmy do historyi klasztoru.

We Włoszech, kilka mil od Assyża, miasta rodzinnego św. Franciszka Serafickiego, wznosi się górą wysoka, a na szczycie owej góry wspaniała bazylika z klasztorem przez Franciszkanów zamieszkałym, góra nazywa się Alwernia, po włosku Alwerno. Na tej to górze odebrał św. Franciszek w dniu 17 września 1224 r. od Pana Jezusa cudownym sposobem blizny czyli rany na ciele, to jest w rękach, nogach i w boku. Jako Kalwarya Zebrzydowska i inne Kalwarye po świecie są na wzór i podobieństwo Kalwaryi Jerozolimskiej przez pobożnych fundatorów wystawione, tak podobnie Alwernia w Polsce jest założona przez Krzysztofa Korycińskiego fundatora na wzór i podobieństwo owej góry Alwerni we Włoszech, na której św. Franciszek odebrał cudownym sposobem blizny czyli rany. Powód zaś fundacyi Alwerni w Polsce podaje nam kronika klasztorna następujący:

Krzysztof Koryciński, właściciel dóbr Poręba Żegoty, podróżował z polecenia króla polskiego Zygmunta III w roku 1609 jako poseł nadzwyczajny do Hiszpanii. Wracając odwiedził Koryciński groby Apostołów świętych Piotra i Pawła w Rzymie, a po drodze odwiedził grób św. Franciszka z Assyżu, skąd udał się na górę Alwernia słynną z odebrania pięciu ran na ciele św. Franciszka. Na tej górze zachorował Koryciński śmiertelnie; wśród choroby uczynił ślub uroczy-



PAN JEZUS CUDOWNY
w kościele OO. Bernardynów w Alwerni.

sty, że wystawi Franciszkanom w swoich dobrach kościół i klasztor, gdy go Pan Bóg z tej choroby podźwignie i szczęśliwie do domu przyprowadzi. Wysłuchał Pan Jezus prośby pobożnego przyszłego fundatora, który zdrowo do domu wróciwszy, zaraz myślał o wykonaniu ślubu uczynionego.

W dobrach Korycińskiego były lasy i góry skaliste, ale szczególniej nadawała się na klasztor góra nazwana „Podskale“, tem bardziej, że według zeznania pasterzy widziano na tej górze często w nocy światła gorejące oraz słyszano śpiewy i melodye piękne jakby zapowiadające, że ta góra wybrana

jest od Boga, aby na tej górze zakonnicy rozrzucali światło Ewangelii św. a śpiewami głosili cześć i chwałę Bożą. Górę tę wybrał fundator jako miejsce najstósowniejsze na kościół i na klasztór św. Franciszka Serafickiego.

W r. 1618 został kościół i klasztor drewniany skończony, poświęcony i zakonnikom do użytku oddany, a miejsce to nazwane Alwernią zamiast Podskale. Za 30 lat bo w r. 1648 ogień zniszczył kościół i klasztór cały. Pan Jezus zaś natchnął syna fundatora, Jana, który przy pomocy innych dobrodziejów wystawił tak kościół jako też klasztor w tem samem miejscu z kamienia porfirowego, w r. 1660 ukończono budowę klasztoru i kościoła, a w roku 1668 zjechał ks. Biskup Sufragan Krakowski ksiądz Mikołaj Oborski do Alwerni i w sam dzień św. Franciszka konsekrował ten kościół pod wezwaniem 5 ran św. Franciszka Serafickiego. Pan Jezus, który ciało św. Franciszka piętnami swoich ran ozdobił we Włoszech na górze Alwerno, chciał też to ustronie Alwernia wsławić wielkiem dobrodziejstwem, oto przeniesieniem cudownego swego wizerunku z Węgier na górę Alwernia. Na górach zwykle wznoszą się świątynie z cudownemi obrazami Matki Boskiej lub Pana Jezusa — na górach przemawiał Bóg do proroków w Starym Zakonie; wystarczy wspomnieć górę Sinaj słynną z ogłoszenia dziesięciu przykazań Boskich — na górze Tabor Pan Jezus się przemienił — na górze Oliwnej wstąpił do nieba — na górze Częstochowa lub Kalwarya Zebrzydowska króluje Matka Boska swoją opieką i cudami różnemi — górę Alwernią obrał sobie Pan Jezus miłosierny, którego obraz cudowny dnia 2 sierpnia r. 1686 z Węgier solennie tutaj wprowadzono.

Historya tego cudownego obrazu następująca:

Obraz ten był niegdyś w skarbcu cesarskim w Konstantynopolu. Kiedy posłowie cesarza austryackiego Ferdynanda II. byli w Konstantynopolu u sułtana tureckiego — tenże ofiarował obraz P. Jezusa w cierniowej koronie cesarzowi w darze. Pobożny cesarz Ferdynand umieścił ten obraz w swojej dworskiej kaplicy, przed tym obrazem często się modlił a razu pewnego w jednej z ciężkich wypraw wojennych prosząc o zwycięstwo przed tym obrazem usłyszał słowa pochodzące od obrazu: Ferdynandzie ja cię nie opuszczę — rzeczywiście Pan Jezus go nie opuścił, bo cesarz odniósł zwycięstwo nad nieprzyjacielem. Gdy zaś cesarz Ferdynand umierał bojąc się, by ten obraz Pana Jezusa cudowny nie

dostał się w ręce niekatolickie, podarował ten obraz swemu kapelanowi nakazując mu, aby ten obraz cudowny miał w wielkiem poszanowaniu. Z rąk kapelana cesarskiego dostał się ten obraz do węgierskiej rodziny magnackiej Hollo. Z tą rodziną żył w przyjaźni ks. Proboszcz z Lubowli (Węgry powiat Koszyce) Jan Michlajski. Zygmunt Hollo umierając podarował ten obraz ks. Janowi Michlajskiemu, a wtedy już obraz ten szacowali artyści wartości dziesięć tysięcy złotych.

Zdarzyło się, że ojciec ks. Jana Michlajskiego podróżując z Węgier do Krakowa zachorował w drodze, a chorego bardzo przyniesiono do klasztoru w Alwerni. Zakonnicy przyjęli chorego, pielęgnowali starannie, a gdy w tej chorobie umarł, pochowali jego ciało w grobowcach. Zaraz donieśli ks. Janowi Michlajskiemu o śmierci ojca, przyjechał ksiądz syn do Alwerni, chciał zakonnikom zapłacić za pielęgnowanie ojca, ale zakonnicy nie przyjęli pieniędzy — wtedy powstała myśl w jego sercu, obraz P. Jezusa cudownego z wdzięczności zakonnikom ofiarować. Wielka radość zapanowała w okolicy Alwerni, gdy się wieść rozeszła, że wkrótce ma być na tę górę obraz cudowny Pana Jezusa z Węgier przeniesiony.

Oto w dniu 2 sierpnia roku 1686 w sam dzień odpustu Porcyunkuli dano znać do klasztoru, że obraz z procesyą już blisko Alwerni, jest w Babicach, mila od Alwerni. Wszystek lud odpustowy, duchowieństwo, Bractwa kościelne z chorągwiami wyszli naprzeciw tego skarbu drogiego, który wśród bicia z moździeży, z muzyką solennie do kościoła wprowadzono.

Obraz umieszczono najpierw w Wielkim ołtarzu, lud okoliczny dowiedziawszy się o tym skarbie drogocennym, gromadził się licznie korząc się przed obrazem — chorzy odzyskiwali zdrowie, smutni pociechę, nieszczęśliwi ulgę i pomoc — wkrótce obraz ten różnemi wotami ozdabiano — pielgrzymki z dalekich stron zwłaszcza ze Śląska napływały tak licznie, że myślano o tem, aby osobną kaplicę wystawić dla tego obrazu cudownego P. Jezusa.

Znaleźli się Dobrodzieje klasztoru mianowicie: Jan Kuciel, syndyk klasztoru; Jan Para, młynarz z Okleśni; Bartłomiej Trawiński, obywatel krakowski; Franciszek Gieliński z Ruszczy, którzy doznawszy wiele łask od Pana Jezusa wybudowali osobną kaplicę, a Jan Jeliński, dzierżawca z Ryczowa sprawił grubo pozłacane ramy dla tego obrazu do

dzisiejszego dnia będące świadkiem cudu, którego doznał od tego Pana Jezusa w czasie choroby zaraźliwej bydła, jako też wotum srebrne figurki krowy i barana, nadto liczne wota srebrne i złote przy obrazie zawieszone, świadczą o łaskach doznawanych w różnych czasach i przez różne osoby.

Obraz ten jeśt na płótnie malowany, na desce dębowej przyklejony, ma 5o ctm. szerokości a 65 ctm. wysokości -- głowę P. Jezusa okala aureola i cierniowa ze srebra okuta i pozłacana korona, nad koroną są promienie złote wysadzane drogiemi kamieniami, naokoło promieni są rozsiane gwiazdy srebrne, a w ręku trzyma Pan Jezus trzcinę srebrną grubo pozłacaną, popiersie Pana Jezusa jest okryte srebrną blachą. Każdy piątek w roku odprawiają zakonnicy solenną wotywę przed obrazem tym z litanią o Imieniu Jezus.

Opis tego klasztoru niech będzie pamiątką dla tych, którzy znają już osobiście to miejsce cudowne, a dla tych, którzy nie znają tego miejsca, niech będzie zachętą do pielgrzymki na górę Alwernią do stóp Pana Jezusa miłosiernego, w imię zaś tego Pana Jezusa proszę Cię czytelniku o małą ofiarę na dokończenie wieży oraz na nabycie dzwonów wielkich, któreby cześć i chwałę Pana Jezusa światu z tej góry głosiły, a my zakonnicy św. Franciszka obiecujemy modlitwy zanosić do tego Pana Jezusa, dopóki ta pustynia Alwernijska istnieć będzie.

Adres: **Ks. Stefan Podworski,** gwardyan klasztoru **w Alwerni.**

O torturach w Polsce.

(Wyjątek z Pamiętników ks. Kitowicza).

Tortury były używane w sprawach gardłowych, kiedy winowajca, albo przez inkwizycyę nie był doskonale o występek przekonany, albo choć był, a nie chciał się przyznać do tego, co mu inkwizycyami dowiedziono, którego wyznania winy, podług zwyczaju w wszelkich sądach praktykowanego, koniecznie po winowajcy wyciągano. Choć go zaprzeczenie inkwizycyom nie uwalniało od śmierci, jeżeli te były dokładne; przecież go w takowym razie brano na tortury, których żaden kryminalista uniknąć nie mógł, chyba się sam dobrowolnie przyznał do tego występku, który mu zadawano; nawet kiedy przyznał się podczas tortur, a po odbytych mękach zapierał się, znowu go trzeci raz męczono.

Jeżeli po trzech torturach wytrzymanych wracał się do zapierania, oglądali się sędziowie na okoliczności dowodów i inkwizycye świadków; jeżeli te były mocne, winowajcę śmiercią karano, nie zważając na jego zaprzeczenia, zaciętości umysłu i cierpliwości ciała przypisane. Jeżeli dowody i inkwizycye były słabe, jeżeli się więzień nie przyznał na torturach, albo przyznawszy się na jednych i drugich, a na trzecich zaparł; uwalniano go, z wolnem popieraniem kary na stronie, za której instancyą był męczony; jeżeli nie było żadnych dowodów, tylko podobieństwa, a więzień na pierwszych, drugich, lub trzecich torturach przyznał się i więcej przyznania swego nie odwołał, był stracony. Jeżeli podobieństwa były mocne, a winowajca tortury wytrzymał bez przyznania się statecznie, uwolniony zostawał.

Lecz i strona instygująca była wolna od kary za udręczenie winowajcy, z przyczyny mocnych, jako się wyżej rzekło, do prawdy podobieństw. Najwięcej zaś takowe męczenia ludzi czasem niewinnych dlatego bezkarnie uchodziły, że pospolicie osoby, które brano na tortury, były albo włóczęgowie, albo poddani panów swoich, którzy ich męczyć dawali, albo z ostatniego motłochu, za którymi nie miał się kto ująć; przeciwnie zaś oddający obwinionych na torturę, musieli być ludzie majętni, ponieważ ekspedycya tortur wiele kosztowała.

Tortury, czyli sposób męczenia ludzi, był takowy: w miastach pryncypalnych pod ratuszem była piwnica do tego używana, w której ścianach w jednej był osadzony hak żelazny, gruby, z kółkiem takiem, wysoko od ziemi na półtrzecia łokcia; w drugiej ścianie takiż hak z kółkiem od pawimentu, czyli od ziemi na łokieć, na środku piwnicy postawiono niski stołek, na nim kat posadził więźnia, związał mu w tył ręce jednym powrozem, drugim powrozem związał nogi do kupy, a końce powroza przywiązał mocno do kółka niższego; przez powróz u rąk przełożył inny postronek, długi i smagły, i dobrze łojem dla lekkiego pomykania się wysmarowany; ten postronek przez kółko wyższe pojedyńcze przewleczony, trzymał za koniec, raz i drugi sobie około ręki okręciwszy, aby mu się w ciągnieniu nie wymknął

Przyporządziwszy tak więźnia, i stanąwszy tuż przy nim na boku, przyciągnął lekko postronka, do wyprostowania go tylko podług odległości, jaka była od rąk winowajcy do kółka, ażeby ani kółko ani postronek nie wisiały, tylko się znajdowały na wyciągłości. Na boku przy ścianie, naprzeciw wię-

źnia, postawiono stolik i stołki z kałamarzem, piórem i papierem na stoliku, za którym zasiadał wójt z jednym lub dwoma ławnikami, a na boku stolika pisarz miejski.

Gdy już wszystko było przygotowane, instygator miejski, stojący przy wójcie, imieniem delatora przytomnego lub nieprzytomnego (jak mu się podobało), w krótkiej perorze upraszał owego szlachetnego magistratu, ponieważ więzień dobrowolnie nie chce się przyznać ekscesu popełnionego, aby go skazał na tortury podług świętej sprawiedliwości. Wójt zatem zaczął się pytać więźnia, najprzód: jakiej jest kondycyi, jakiej wiary, gdzie się rodził, czem się bawił od młodości aż do czasu swojej kaptywacyi. Jeżeli już nie był o podobny kryminał obwiniony, sądzony, lub torturami próbowany?

Gdy na te wszystkie pytania odpowiedział, jak rozumiał, a pisarz wszystkie pomienione depozycye zapisał; dopiero wójt przystąpił do rzeczy, o którą chodziło; mówił łagodnie do więźnia po imieniu: podobno to ty lub waszeć tę kradzież, tę zbrodnię popełnił, przyznaj się dobrowolnie, nie daj się męczyć; zapieranie ci nic nie pomoże, czy się przyznasz, czy nie, równo się od śmierci niewybiegasz, bo są na ciebie wielkie dowody, żeś to ty a nie inny zrobił, a przyznawszy się dobrowolnie, nie będziesz mąk przygotowanych cierpiał, przez wzgląd na dobrowolne twoje wyznanie winy, sąd cię łaskawszą śmiercią ukarze, jeśliś to uczynił z ostatniej nędzy, na przykład, gdy szło o kradzież, albo o nieostrożność, i albo w pierwszej popędliwości, gdy kogo zabił, albo z głupstwa, gdy szło o czary, albo z namowy cudzej, nauczywszy się od drugich starszych czarowników; przyznaj się, może cię sąd za twą pokorą życiem udarować raczy.

Gdy więzień na te pierwsze łagodne perswazye nie przyznał się, zaklinał go znowu wójt na wszystkie świętości religii, na zbawienie duszy własnej, którą podaje w niebezpieczeństwo utraty, kiedy grzechu na siebie wyznać nie chce i przez jedyną zaciętość, ciało swoje grzeszne na męki eksponuje.

Gdy te eskorty nic nie wyciągnęły z więźnia, dopiero wójt rzekł do instygatora: panie instygator, mów mistrzowi, niech sobie postąpi według prawa. Instygator zawołał kata. mistrzu postąp sobie według prawa; kat nim przystąpił do egzekucyi, zawołał po trzy razy: mości panowie zastolni i przedstolni (wyrażając tymi terminami urząd siedzący za stołem, i instygatora stojącego przy stole), jeśli z wolą czy

nie z wolą? Instygator odpowiedział mu za każdym razem: z wolą.

Dopiero kat silnie pociągnął za sznur, czyli powróz, którego koniec trzymał w ręku, jako się wyżej rzekło, wtenczas ręce więźnia poczęły się wyłamywać z stawów ramion, podnosić się w górę tyłem głowy, i stanęły z nią w równej wysokości, pozytura zaś więźnia podając się wyższą częścią ciała za sznurem, pośladkiem znajdowała się na stoliku. Nogi zaś wyciągnione i do haka przywiązane, wisiały jak na powietrzu. Więzień przeraźliwym głosem wrzeszczał co gardła: nic nie winienem, nieznam się do niczego, nie męczcie mnie; zaklinam was na straszny sąd Boski, puśćcie mnie, i tym podobnie; albo jeżeli był miękiego przyrodzenia, prosił o pofolgowanie, i otrzymawszy przyznawał się do tego, o co był obwiniony, powiadał także inne ekscesa w życiu swojem popełnione, gdyż oprócz występku sprawę czyniącego, nie zaniedbywano nigdy egzaminować z całego życia.

Po takiem wyznaniu już nie był więcej dręczony. Lecz jeżeli się do niczego nie chciał przyznać, albo też inne występki powiadał, a ten, o który chodziło, taił, trzymany w pozyturze pierwszego traktu, czyli pociągnienia, znowu za poprzedzającemi instygatora i kata rozkazami i pytaniami był mocniej pociągniony.

Do drugiego traktu kat przybierał swego czeladnika, hycla; obaj tedy, co mieli siły, ciągnęli za sznur; więzień wyciągnął się jak struna, ręce wykręciły się tyłem i stanęły w prostej linii z ciałem nad głową; w piersiach zrobił się dół głęboki, w który tłoczyła się głowa, cały człowiek wisiał na powietrzu, niedotykając się już nic stolika. Wszystkie żebra, kości, junktury w nim niemal widać było, że mógłby je porachować, do tortur albowiem rozbierano delikwentów do naga obojej płci, same tylko miejsca wstydliwe jakiem chuściskiem obwinąwszy. Jeżeli się trafiło, że więzień w samej rzeczy umarł na torturach, wszystko się natychmiast skończyło, pochowano zmarłego, a sprawa przepadła.

Trafili się czasem tacy delikwenci, którzy miasto prośby, używali ostatnich słów obelżywych na stronę sędziów, do podziwienia mężnie najsroższe katownie wytrzymując, a tacy się trafiali najczęściej z złodziejów. Za drugim traktem dopiero opisanym, kiedy więzień w uporze był zatwardziały, kładli mu na nogi żelazo, ostre karby nakształt zębów piły mające, z dwóch sztuk złożone, przez które przechodziły z obu końców śruby; temi śrubami hycel ściągał żelaza zę-

bate, na wierzch piszczeli nóg i pod spód zadane, które coraz bardziej gniotąc i kalecząc nogi, nieznośny ból winowajcy wyciągnionemu i bynajmniej niespuszczonemu zadawały.

Mistrzowie te żelaza, podobne dybom, po swojemu nazwali butami hiszpańskiemi; lecz nie wszędzie ich używano, tylko w miastach większych. Powiadano mi za rzecz pewną, iż nie znalazł się żaden delikwent, któregoby takie obuwie do przyznania się nie zmiękczyło. Kropienie siarką gorącą, przykładanie do blach rozpalonych, czego po innych miastach używano, nie było tak skuteczne, jak buty hiszpańskie.

Po innych miastach mniejszych, albo i po wsiach, kiedy do nich miejski urząd na taką inkwizycyą był wprowadzony, męczono więźnia w lada domu lub stodole, ciągnąc go na drabinie położonego i do szczebla pierwszego i drugiego przywiązanego, położywszy pod niego deseczkę, aby się ręce o szczeble nie zawadzały. Kiedy miano czarownice i czarowników próbować torturami, kaci zabobonnicy i guślarze wielcy, golili im nasamprzód włosy, wszędzie, gdziekolwiek te ozdoby i zasłony natura ludziom dała, powiadając, iż w włosy djabeł się kryje i niedopuszcza czarownicy lub czarownikowi wyznania, i że ukryty w włosach, za niego lub za nią cierpi, biorąc za przyczynę takowego mniemania, owo ciche i spokojne wytrzymanie tortur, wyżej wyrażone, z mdłości i upadku z gruntu na siłach pochodzące, nie z łaski djabła, któremu się jako zdrajcy i nieprzyjacielowi ani śniło cierpieć za człowieka.

Golili też także i złodziei, twardych do przyznania. Żydom zaś wskazanym o jakikolwiek eksces na tortury, regularnie tę galanteryą czyniono; choć nieraz ogolony tak żyd bez mydła, wszystkie męki, nie przyznawszy się, albo i chrześcijanin wytrzymał. Wtenczas kaci w rzeczach fizycznych wielcy błaznowie, udawali, że im jakiś czarownik tortury oczarował, iż swego skutku wziąść nie mogły. Podobnież spędzali na czarowanie placu niesprawność ręki swojej, gdy pod miecz wskazanego nie gładko ścięli. Lecz im ta ekskuzya przed mądrymi magistratami nieuchodziła, od których pospolicie za niesprawną ekskuzyą, bierali po sto batogów.

Skończywszy pierwsze tortury, z sukcesem pomyślnym lub niepomyślnym względem wybadania prawdy, kat więźnia spuszczał z tortur i zdejmował mu z nóg buty hiszpańskie, jeżeli do nich przyszło; posadził go na stołku, tak jak przed torturami, wziąwszy potem ręce powykręcane, odkręcał na-

zad z nowym bólem; złożywszy je na krzyż przed piersi więźnia, kolanem między łopatki tłocząc i rozmaicie wiercąc, nabijał i naprowadzał w stawy, co było boleśniejsze od samej tortury; ubrał potem więźnia w suknie, i zaprowadził do aresztu, z którego do katuszy był przyprowadzony.

Takie tortury na twardych więźniach lub niedostajnych w wyznaniu winy, były powtarzane do trzeciego razu, odpoczynkiem kilkodniowym, dla wzmocnienia sił przeplatanego. za którem dopiero następował dekret śmierci lub uwolnienie według okoliczności. Tortur nie tentował nigdy żaden sąd szlachecki; ale jeżeli trybunał ziemski albo gród wskazali na tortury kogo, odsyłali go z ekspedycyą onych do urzędu miejskiego.

Tęż samę ceremonią czyniono i z dekretami kryminalnemi, w których na końcu po sentencyi śmierci dokładano: *pro cujus modi executione reum ad officium scabinale civitatis praesentis remittit;* oprócz sądów marszałkowskich. koronnych i litewskich, z których prosto nie referując się do miasta, winowajcę na plac prowadzono. Juryzdykcya albowiem marszałkowska ma swoich żołnierzy. a inne juryzdykcye nie mając, odsyłają do miast, które miasto żołnierzy. otaczają więźnia ludźmi młodszymi rozmaitych cechów. halabardami i szablami natenczas uzbrojonymi. Trybunały zaś, choć mają asystencyą żołnierza komputowego, nie chcą gó szarzać; wszakże widzieliśmy nieraz więźnia wychodzącego na plac pod bronią żołnierza komputowego, kiedy był dystyngwowany urodzeniem, i stąd wynikła bojaźń odbicia go i uwolnienia gwałtownego.

Cud na pustyni.

Podczas ucieczki do Egiptu przebywała raz Najświętsza Panna Marya przez pustą, skalistą dolinę, w której ani drzewka, ani krzaczka żadnego nie było. Słońce paliło tak gwałtownie, że aż ziemia pękała, a piasek był gorący jak żarzewie. Matce z Dziecięciem dokuczało straszliwe pragnienie, ale dziewicza Matka Boska napróżno oglądała się za jakiem źródłem. Ach! jakże serce Ją bolało, gdy musiała patrzeć na tak spragnione Dzieciątko, a dopomódz mu nie mogła!

Ale otóż pomoc w potrzebie! Nagle ukazało się dziewczę bardzo straszne i żółte na twarzy, z oczami pełnemi wyrazu dobroci i przychylności. Niosło ono dzbanuszek pełen jak śnieg

białego, słodkiego mleka. Skoro spragnioną Matkę z Dzieciątkiem ujrzało, zaraz im dzbanuszek z mlekiem podało do picia.

„Trzykrotne szczęście tobie i twemu dziecku!“ rzekło dziewczę, „ach, jak chętnie chciałabym je na chwilę popiastować!“

Najświętsza Panna chętnie przystała na to dziecinne życzenie i położyła słodkie Dzieciątko w ramiona dziewczęcia. O, jak się dziewczę ucieszyło, i z jaką radością Dzieciątko huśtało, pieściło i całowało! Potem życząc Matce szczęścia i błogosławieństwa na drogę, popatrzało za odchodzącymi i udało się jakoś posmutniałe do domu.

Pierwszem zatrudnieniem teraz dziewczęcia było przynieść wody, aby ojcu obiad zgotować. Pobiegła więc do studni. Nachyliwszy się po wodę, ujrzała ku swemu nieopisanemu zdziwieniu we wodzie twarzyczkę tak piękną, jakiej nigdy jeszcze nie widziała, ani o jakiej nie śniła. Schyliła się jeszcze niżej i poczęła wodę rozgarniać rękami, — ale twarz i postać nie znikała. Przeciera więc oczy, ale o dziwy! postać w studni robi te same poruszenia; dziewczę śmieje się do obrazu, obraz śmieje się do dziewczęcia! Ach! to nie żadna obca twarz, tylko jej własna, którą Boskie Dzieciątko w nagrodę za napojenie ze szpetnej w piękną przemieniło!

Nowy Rok w Chinach.

Jeśli jest na ziemi kraj, gdzie całe życie jest zupełnie odmiennem od tego, cośmy przywykli widzieć w Europie, to niewątpliwie są nim Chiny. Wszystko tam jest innem, niż u nas; i sami mieszkańcy — żółci, z ukośnemi oczami, z długim warkoczem na krótko ostrzyżonej głowie; i język ich, i religia, i obyczaje — nie mówiąc już o urządzeniach społecznych i politycznych państwa chińskiego.

Dla przykładu weźmy choćby obchód Nowego Roku w któremkolwiek z większych miast chińskich.

Nowy Rok wypada w Chinach w końcu naszego stycznia i uważa się za jedną z największych i najradośniejszych uroczystości. Jestto prawdziwe święto zabaw i wesela. W dzień ten wszystkie urzędy i biura są zamknięte, wszelka praca ustaje. Mieszkańcy, w świątecznych szatach, wysypują się na ulice, dążąc każdy do przyjaciół i znajomych w odwiedziny, z podarunkiem noworocznym lub życzeniami.

Na ulicach tłumno i gwarno. Mandaryni*) różnych stopni

*) Mandaryn — urzędnik chiński.

spieszą, niesieni w lektykach*) do swoich naczelników, a przed każdym biegnie policyant, rozpychając laską trzcinową tłum, zastępujący drogę.

Przedewszystkiem jednak prawowity chińczyk kieruje się do świątyni Buddy**) i tam z wróżb stara się dowiedzieć, co czeka go w nowym roku. Oto jakaś kobieta modli się długo przed posągiem bożka, a potem rzuca w górę laseczkę trzcinową i z jej spadania poznaje, czy Budda wysłuchał jej modlitwy... Tam znów mężczyzna podchodzi do urny, stojącej przed posążkiem i zanurzywszy w niej rękę, wyciąga numer ustępu, który powinien odczytać na wiszącej obok księdze; zazwyczaj wróżba wypada pomyślnie — i wtedy chińczyk oddaje się tem większej wesołości.

Inni wróżą ze świec zapalonych. Coraz widać biegnącego ulicą chińczyka z pięknie malowaną, zapaloną świecą w ręku. Pędzi co sił, starając się donieść płonącą świecę do swego mieszkania. Jeśli mu się to nie uda, jeśli świeca zgaśnie po drodze, ma to być znakiem jakiegoś nieszczęścia — co jednak na razie nie odbiera zwykle nikomu dobrego humoru.

Tłum rośnie coraz bardziej, snując się tam i napowrót po wszystkich ulicach i placach. Otwarte sklepy z łakociami nęcą przechodniów; cyrulicy, rozstawiwszy stołki na ulicy, strzygą i golą tych, którzy nie zdążyli wcześniej odbyć tej niesłychanie ważnej dla chińczyka czynności.

Niema miejsca, gdzieby się nie odbywała jakaś zabawa. Tam na placu gromada poważnych chińczyków z dziecinną radością puszcza w górę latawce papierowe w postaci wężów i smoków. Jeden drugiemu stara się latawca zahaczyć swoim i ściągnąć na dół — bo za to czeka go sława zwycięzcy.

Gdzieindziej rozłożyli się kuglarze wędrowni i ci skoki łamane wyprawiają, inni podrzucają w górę i zręcznie chwytają na koniec trzcinki kręcący się talerz. Tutaj grają na bębnie, tam tańczą, ówdzie pokazują teatr lalek, który się niezmiernie podoba i wzbudza wielką wesołość w otaczającym tłumie.

Tymczasem nadchodzi wieczór — i całe miasto nagle zaiskrzyło się od milionów zapalonych lamp papierowych, jakiemi zazwyczaj przystrajano wszystkie gmachy, wieże i świątynie. Długie sznury ich zwieszają się w poprzek ulicy, błyszczą

---

*) Lektyka — rodzaj wysokiego pudła, służącego do przenoszenia ludzi zamożnych.

**) Budda — bóstwo chińskie.

na masztach łodzi, migają różnobarwnemi blaski na powierzchni rzeki, gdzie rozpoczęły się gonitwy wioślarzy.

Najświetniejszą jednak chwilą zabawy noworocznej jest puszczanie w powietrze ogni sztucznych i fajerwerków. Na dane hasło lecą w górę tysiące rakiet i kul ognistych, które pękają z hukiem wysoko na niebie, sypiąc miliony różnobarwnych iskier. To znów z tych rakiet tworzą się ogniste węże i smoki: spotykają się ze sobą, ziejąc z paszcz potoki ognia, borykają się i z hukiem i sykiem spadają na dół iskrzącą się kaskadą. We wszystkich ogrodach palą się ognie kolorowe — czerwone, zielone, niebieskie i żółte, zmieniając się kolejno i bijąc w niebo coraz to inną łuną. Całe miasto tonie w świetle — a przy blaskach jego widać niezliczone tłumy ludzi wszelkiego wieku i stanu — śmiejących się, krzyczących, rozweselonych, biegających z zachwytem od jednej zabawy do drugiej.

Dopiero późna noc kładzie kres tej noworocznej uroczystości.

WISŁA.

(Krakowiak).

Wypłynęła Wisła
Hej! ze ślązkiej ziemi,
Srebrną pianą błysła,
Falami srebrnemi.
  Nie dościgniesz wzrokiem
  Zginęła w przestworzu,
  Wybiegła potokiem,
  Znikła rzeką w morzu.
Płynie Wisła, płynie,
Z pod Baraniej góry,
Kędy mgły w dolinie,
Nad górami chmury.
  Lecz gdy wiatr powionie
  Chmura wnet odleci
  W jasnem Wisły łonie
  Jasne słońce świeci.

Znam już świat daleki,
Hej! znam doskonale:
Są piękniejsze rzeki,
Przeźroczystsze fale.
  Wisła się nie dąsa,
  Nie jest im zawistna:
  Szumi, śpiewa, pląsa,
  Krakowianka istna.
To też gdy w noc piękną
Przy skrzypicy graniu
Podkóweczki brzękną
Tonie noc w śpiewaniu:
  Gdy się ozwą basy
  I grzmią aż do ranka,
  Hula pełna krasy
  Wisła Krakowianka.

K. Gl.

Główniejsze zwyczaje i obyczaje polskie.

Zapustki, ostatki. Wiadoma rzecz, że w zapusty panuje wielka wesołość, a mianowicie w trzy dni ostatnie przed postem, zwane ostatkami, dniami szalonemi lub kusemi. Są to niewątpliwie zabytki jeszcze z pogańskich czasów. Zdaje się, że

Pust oznaczał dawniej bożka wesołości, ztąd powstały wyrazy: pustota, rozpusta, zapusty. Dawniej w Krakowie w tłusty Czwartek odbywał się babski cąber. Zgromadzały się przekupki i różne kobiety z pospólstwa, które sobie obierały marszałkową. Tańczono na rynku i śpiewano pieśni cąbrowe. Zabawa zasadzała się głównie na tem, że baby goniły za chłopakami i wogóle nieżonatymi i przywiązywały ich do kloca, albo stroiły w wieniec grochowy za karę, że się nie ożenili. Trzeba się było okupić.

Z przedmieścia Piasek ciągniono bałwana ze słomy, którego na rynku przed Sukiennicami w kawałki rozrywano. Wesołe kumoszki zapijały gorzałeczkę. Dziś już ten zwyczaj nie istnieje.

W niektórych wsiach krakowskich przedstawiają parobcy kozę. Chłopak, który ją przedstawia, jest cały nakryty kocem kudłatym, albo derą lub kożuchem, wywróconym sierścią na zewnątrz; chodzi na trzech nogach, tj. ma jednę nogę na przodku a dwie z tyłu, ogon kudłaty i dzwonek u karku, kwiateczek czerwony na czole. Prowadzi tę kozę czterech chłopaków, którzy z nią chodzą po chatach przy odgłosie muzyki. Koza pokazuje różne sztuki, beczy ludzką mową, że głodna i t. d. Podobna zabawa istnieje także w Kujawach.

Kurek, kogucik. W ostatni Wtorek parobczaki obwożą na dwóch kołach drewnianego kurka, zapraszając dziewki i gospodynie na ucztę. Dostawali za to jaja, ser, masło, kiełbasy; wieczorem wyprawiali w karczmie spólną wieczerzę. Zwyczaj ten utrzymał się jeszcze w niektórych miejscach, n. p. w Kaliskiem.

Judaszki. Utrzymał się jeszcze w niektórych okolicach zwyczaj, że w Wielką Środę chłopaki robią bałwana, który ma przedstawiać Judasza. Wloką go chłopacy na wieżę, zkąd go zrzucają.

Prima aprilis. W dniu 1 kwietnia panuje zwyczaj zwodzenia, który zapewne przeszedł do Polski od Rzymian.

Rezurekcya i święcone. Groby Pańskie po kościołach ściągają liczne tłumy wiernych i w wielu kościołach stoją na straży tak zwani Turcy.

Rezurekcya odbywa się uroczyście w Wielkanoc, po miastach czasem już w Wielką Sobotę. Po rezurekcyi w całej prawie Polsce zasiadają wszyscy do święconego. Jestto rzewny czystopolski zwyczaj, nieznany w innych krajach, którego początku należy szukać w słowiańskiej gościnności. Jak w dzień wilii Bożego Narodzenia dzieli się gospodarz z domownikami i gośćmi opłatkiem, tak w Wielkanoc święcone jajko zastępuje opłatek. W naszym kraju zwyczaj ten bez wątpienia przechodzi częstokroć właściwą miarę.

Gościnność, hojność i koleżeńskość, odbija się w tych usilnych zapraszaniach i częstowaniach.

Panowie polscy wyprawiali bardzo wspaniałe święconki; np. u wojewody Sapiehy w Dereczynie na Litwie takie zastawiono święcone: «Na środku stołu był baranek, wyobrażający Baranka Bożego z chorągiewką, a specyał ten dawano tylko paniom, senatorom, dostojnikom i duchownym. Stały 4 przeogromne dziki, to jest tyle ile części roku; w każdym z nich była wieprzowina czyli szynki, kiełbasy, prosięta. Kuchmistrz największą pokazał sztukę w upieczeniu całkowitem tych odyńców. Stało też 12 jeleni także całkowicie pieczonych ze złocistemi rogami, nadzianych rozmaitą zwierzyną, a mianowicie zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jelenie wyrażały 12 miesięcy. Na około były ciasta sążniste, tyle ile tylko tygodni w roku, to jest całe cudne placki, mazury, żmudzkie pirogi, a wszystko wysadzane bakalią. Za niemi było 365 babek, ile dni w roku, ozdobione napisami, że niejeden tylko czytał, a nie jadł».

Traczyk krakowski i śmigus. W okolicach Krakowa, oraz w przyległych powiatach Galicyi i Królestwa Polskiego, w drugie święto wielkanocne młodzież chodzi po wsiach z traczykiem. Wł. Anczyc tak opisuje ów zwyczaj: «Kiedy się w najlepsze bawimy (we wsi Prądniku), nagle zabrzmiał śpiew:

Miły gospodarzu,
Wpuście nas do izby,
Boć nas tu nie wielu.
Nie zrobimy ciżby.
Stoimi za drzwiami,
Jest Pan Jezus z nami.
Do izby nas puście,
Bo my po śmiguście.
A dajcie, co macie dać,
Bo nam tutaj zimno stać.

Był to głos chłopców, niosących traczyka. Weszło najpierw trzech chłopaków, ubranych po wiejsku, ale na głowie mieli czapki papierowe ułańskie, na piersiach czerwone rabaty i na krzyż bandolety papierowe, a na nich pałasze drewniane i ładownice.

Za nimi szło dwóch, niosąc drewnianego baranka, który trzymał w przednich łapkach piłę do rznięcia drzewa; na pamiątkę, że Pan Jezus był niewinnym barankiem, i św. Józefowi pomagał w ciesiołce rznąć piłką. Wokoło niego było mnóstwo

gałązek choiny i bukszpanu. Postument był zaopatrzony jakąś maszyneryą z kółkiem, za którego obrotem baranek wciąż się kiwał, jakoby rznął drzewo, a kilka dzwoneczków wciąż dzwoniło. Oprócz tego szedł jeszcze jeden, niosący Bożą Mękę ubraną we wszelkie jej godła, dosyć zgrabnie wyrobione kozikiem. Nie brakowało nawet koguta, ulepionego z iłu i pomalowanego na żółto, z kilku prawdziwemi piórami w ogonie. Chłopcy śpiewali przytem różne pieśni.

Ledwie wyszli, rozległ się okrzyk: »Śmigus, śmigus!« Na to hasło rozbiegła się rzesza w okamgnieniu, a obecni zaczęli się wodą z dzbanów i konwi oblewać nawzajem, wśród wesołych krzyków, pisku kobiet i śmiechu mężczyzn. Zaczęły się wzajemne gonitwy i chlustanie wodą.

Smigus, zwany także dyngusem, jest odwiecznym w Polsce zwyczajem. Dzieją się nieraz nadużycia, gdyż parobcy wrzucają czasem dziewczęta do sadzawki, albo oblewają przy studni wodą kubłami, co nieraz sprawia chorobę. Dobrze zachowywać przodków zwyczaje, ale nie wolno ich nadużywać, aby na tem cierpiało zdrowie bliźniego.

Rękawka. W trzecie święto wielkanocne wychodzą Krakowianie na górę Lasoty, uwieńczoną mogiłą Krakusa. Rano odbywa się w poblizkim kościele nabożeństwo, a po obiedzie ludowa zabawa. Zbierają się biedni ludzie, a najwięcej dzieci u stóp góry, którym z wierzchołka rzucają zebrani pierniki, orzechy itd. Dawniej rozdzielano tam ubogim resztki święconego. Rękawką dlatego zowie się ów obchód, gdyż lud po śmierci Krakusa znosił podobno rękawami ziemię na mogiłę dla dobrego księcia. Zdaje się, że podobny obchód istniał dawniej w Poznaniu, czego dowodzi tłumna pielgrzymka w drugie święto wielkanocne do kościoła św. Jana za miastem.

Gra w zielone. Ta gra już nie chwilowa, ale trwalsza, zaczyna się właściwie od drugiego święta Wielkanocy, a trwa do św. Michała. Dwie osoby umawiają się, że przez ten czas, albo przez miesiąc, tydzień zawsze zielone przy sobie mieć będą: listek, gałązkę lub coś podobnego; kto nie ma zielonego lub zwiędłe, płaci karę. Gra to dzieci, przyjaźni, miłości, dająca sposobność robienia upominków; zowie się także mienione, gdyż trzeba często zmieniać zielone albo że między sobą tę zieloność grające osoby zmieniają. Zielone opisał wierszem Kochanowski:

Z tych drzew zrywam latorośle,
Te Maryni mojej poślę;

Zielonem niech się zabawi,
A niech słuszny zakład stawi.
Ta gra tem się prawem chlubi,
Komu zwiędnie, kto je zgubi,
Lub go zbędzie innym kształtem,
Opłaca zakład ryczałtem.

Zielone Świątki przypadają zawsze w tym czasie, kiedy w przyrodzie panuje ciepło i zieloność. Zdobiono dawniej i dziś po części świątynie Pańskie i domy zielonemi gałązkami, a na podłogę sypie się tatarak i różne ziele, ztąd zapewne powstała nazwa święta.

Drugi dzień Zielonych Świątek ma szczególne znaczenie dla Krakowa i Warszawy, gdyż wówczas ludność tych dwóch stolic wyrusza do klasztoru Bielany, gdzie w lesie używa świeżego powietrza i bawi się swobodnie. Są pod Krakowem Bielany nad Wisłą, odznaczające się malowniczem położeniem, są też i pod Warszawą.

W maju rozpoczynają się ulubione wycieczki, zwane majówkami, które najwięcej mają uroku dla mieszkańców miast i młodzieży. Rozpoczynają się gry wiośniane, a mianowicie koła, rzucanki, kręglice, wyścigi itp.

ROZMAITOŚCI.

Zabawy ludowe w Ameryce. Naczelnik policyi w New Jersey przedstawił tamtejszym władzom miejskim wniosek urządzania dla ubogiej klasy ludności w porze letniej tańców, ale na ulicach miasta, gdzie posadzką byłby asfalt. Podobno władze miejskie przychylnie zapatrują się na ten projekt.

Osobliwe zwierzę sprowadzono niedawno do paryskiego ogrodu zoologicznego. Zwierzę to podobne jest korpusem do wieprza, szczękami i zębami do słonia, pyskiem do dzika. Pochodzi ono z Afryki, gdzie uważane jest za bardzo niebezpieczne. Podobnem zwierzęciem nie może się poszczycić żaden ogród zoologiczny w Europie z wyjątkiem ogrodu paryskiego

Lekarze kucharzami. W najwyższej szkole (czyli na uniwersytecie) w Berlinie zaprowadzono dla lekarzy naukę kucharstwa, aby zaznajomić lekarzy z tem, jakie potrawy powinni przepisywać chorym. W Ameryce podobna nauka już od dawna istnieje.

Nowy specyał. Jest nim już nie konina, tylko „psina“ (psie mięso). Urzędowo „biją“ ją na Śląsku pruskim i w Saksonii mianowicie we

Wrocławiu, Kamienicy, Dreznie, Lipsku, Zwikawie i t. d. Najwięcej uśmiercono psów w Kamienicy (Chemnitz), bo 226, potem w Dreznie 136, wszystko „do spożycia przez ludzi“. Najlepszem ma być podobno mięso „tłustych mopsów“. — Biedne wprawdzie one, ale biedniejsi ci ludzie, którzy te „psie pieczenie“ zajadają. — Za dawnych czasów tylko na pośmiewisko ludziom psią kulkę jeść kazano. Podobno w Pleszewie istnieje jakaś tradycya o podobnym wypadku.

Raj dla służących. Prawdziwym rajem dla służących jest mieścina Boden w północnej Szwecyi, jak się pokazuje z następującego ogłoszenia zamieszczonego w jednem z pism szwedzkich: „Poszukuje się służącej do Boden; takowa otrzyma wysoką pensyę, własny pokój, telefon, kołowiec i fortepian, prócz tego wynagrodzenie za rąbanie drzewa i noszenie wody“. — W Lefvar, również w północnej Szwecyi, założono stowarzyszenie służebnych. Zaraz na pierwszem zebraniu uchwalono, że służące zamiast chustek na głowie, noszonych przez służbę żeńską w całej Szwecyi, nosić mają kapelusze.

Ludzie z rogami. W wieku 17-tym żył we Francyi człowiek, Franciszek Feroille, u którego po prawej stronie głowy róg wyrósł. Zresztą cały człowiek był normalnie zbudowany, silnego wzrostu, lecz życie spędzał przeważnie w lasach. Tu się okrywał wilczą skórą, głowy jednak nie chciał odsłonić, gdyż wstydził się rogu.

Pewnej dziewczynie, nazwiskiem Anna Jacksohn w Weterfordzie, w Irlandyi, żyjącej w tym samym nieomal czasie, po trzecim roku życia na różnych miejscach także rogi wyrosły. Na łokciach, na głowie, na palcach u nóg i rąk wyrastały temu biednemu stworzeniu rogi, które z początku miękkie, później kształt i twardość zwykłych rogów przybierały. Zresztą z wyjątkiem nadzwyczaj karłowego wzrostu, dziewczyna owa byla normalnie zbudowaną. Pożywiała się zwykłym sposobem. Dożyła 14-go roku życia.

Nowy rodzaj zatrudnienia wymyśliły sobie kobiety w Paryżu, a mianowicie kosztowania potraw przysposobionych do rozmaitych uczt. Urządzenie to wprowadzonem zostało w życie przez paryzkich smakoszów. Kobieta taka, którą my tu próbowaczką nazwiemy, przepędza pewną część dnia jedynie na zwiedzaniu rozmaitych domów, w których mają się odbyć jakiekolwiek uczty i próbuje czyli kosztuje wszystkich potraw, które mają być podane na stół, pochwalając lub ganiąc przyrządzone potrawy, podając zarazem sposób nadania mu smaku właściwego i przygotowania ich beznagannego, na danie następne. Próbowaczki te są zresztą bardzo dobrze płatne. Nie zły i wygodny sposób utrzymania.

Trucizna w konwaliach. Zarówno łodygi, jak i sam kwiat konwalij, zawierają w sobie silną truciznę. Nie należy więc np. kwiatu tego przy-

kładać do ust, gdyż najmniejsza na nich ranka po zetknięciu się z kwiatem sprowadza nabrzmienie i przykry ból. Drób, szczególniej młode kurczęta i gołębie po spożyciu zwiędłych konwalij zdychają wkrótce. Dla wróbli czas kwitnięcia konwalij jest porą śmierci, gdyż każdy wróbel, który rozdziobie zwiędły kwiat konwalii, zdycha.

W dolinie śmierci. W Kalifornii istnieje pustynia, zwana doliną śmierci. Zupełny brak wody i panujące tam upały czynią pobyt w tej dolinie nieznośnym, a jednak istnieje tam firma i przedsiębiorstwo. eksploatujące bogate pokłady boraksu. Zatrudnieni w tej dolinie ludzie zarabiają po 25 złr. dziennie, kopiąc boraks i przenosząc go na wozy kolejowe; praca dla tych ludzi jest zabójczą, aczkolwiek boraks, jak wiadomo, nie zawiera w sobie nic trującego. Suche powietrze i palące promienie słoneczne pochłaniają z ich ciał wilgoć Chęć pracy dla wielkiego zarobku przypłacają życiem. Muszą się zmieniać ustawicznie. Piją bez miary, cierpiąc na brak apetytu i bezsenność. Czas odpoczynku spędzają w saganach z wodą, gdzie od czasu do czasu mogą się zdrzemnąć i odzyskać niknące siły. Po kilku dniach pracy uciekają, a w ich miejsce zgłaszają się ciągle nowi robotnicy, żądni pieniędzy i nie zrażający się pewnością, że pobyt w dolinie śmierci zagraża im utratą życia.

Niebezpieczniejsze od końca świata. P. Lapparent, profesor geologii instytutu katolickiego w Paryżu, zapytywany przez jeden dziennik, co myśli o rychłym końcu świata, odpowiedział, że nie ma pod tym względem żadnej obawy. Nie przesądzając o niebezpieczeństwach natury astronomicznej powiada, że ziemia najbardziej zagrożona jest od słońca, którego działalność wciąż się zmniejsza i z czasem ustanie, ale ani my, ani nasze dzieci, ani nawet nasze praprawnuki nie dożyją tej katastrofy. Zdaniem tego uczonego, świat nasz istnieć będzie jeszcze dłużej, niż istniał, tylko temperatura będzie się obniżała.

Figle i żarty.

U doktora. Chory przychodzi do doktora na poradę.
Doktor: Pokażno język — a masz ty apetyt?
Chory oglądając się: Ta, jakby mi pan doktor dał co zjeść, to zjadłbym chętnie.

W ogólności. Sędzia do oskarżyciela: Czy oskarżony nie nazwał pana także „wołem“?
Oskarżyciel: Nie — powiedział mi tylko w ogólności bydlę

Wspomnienie wojenne. Ciotka (wyciągając z pudełka stare pamiątki) mówi do siostrzenicy:
„Te loki, to pamiątka po moim nieboszczyku mężu“.
Siostrzenica: Zapewne otrzymała je ciocia, gdy była jego narzeczoną
Ciocia: O nie — kiedyśmy się po raz pierwszy posprzeczali.

Z Alwernii w Galicyi.

Klasztor św. Franciszka na górze Alwerni rozpoczął dalszą budowę wieży — ofiary przeważnie z pruskiego Śląska wpływają, a od Polaków w Galicyi bardzo rzadko. Podpisany prosi gorąco wszystkich Szanownych Czytelników *Skarbnicy*, aby zechcieli cegiełkę małą przesłać na tę budowę kosztowną, dla Pana Jezusa słynącego cudami w obrazie Alwernijskim.

Kto prześle ofiarę co najmniej **1** zł. (**2** marki) otrzyma **obraz wielki P. Jezusa fundacyjny i mieć będzie udział w Mszach św. 52,** co roku za życia i po śmierci (każdej niedzieli). Nazwiska ofiarujących należy przy przesyłce ofiary podać na przekazie poczty.

X. Stefan Podworski
Gwardyan
w Alwernii (poczta w miejscu).